

O AUTOBIOGRAFIACH, TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ I MODLITWIE

Z Kazimierzem Wilkomirskim rozmawia Kinga Strzelecka OSU

Muzyka, jak każde inne piękno tej ziemi, jest swoistym rodzajem liturgii. Przez nią człowiek może się modlić i kontemplować Boga, ponieważ każdy błysk piękna jest w gruncie rzeczy odblaskiem Piękna.

Kazimierz Wilkomirski – Miło mi powitać Siostrę w naszych skromnych progach. Wprawdzie widzimy się dzisiaj po raz pierwszy, a jednak już się znamy... i to dość dobrze. Szczególnym zbiegiem okoliczności przeczytaliśmy swoje biografie: Siostra moją, zatytułowaną *Wspomnienia*, ja Siostry pod niebanalnym tytułem *Znak tęczy*. A jakże wiele każda z tych książek mówi o jej autorze! Jestem wciąż pod urokiem książki Siostry i na jej tle snuję rozważania, którymi chętnie podzieliłbym się z Siostrą. Interesuje mnie problem: jak powinien wyglądać w ostatecznej formie życiorys własny człowieka bez względu na jego płeć, charakter, uzdolnienia i przebieg życiowej „kariery”?

Kinga Strzelecka – Chętnie podejmę sugerowany temat, który i mnie interesuje. Jeśli chodzi o mój *Znak tęczy*, długo nosiłam go w sobie, zanim zdecydowałam się napisać i opublikować. Szukałam równowagi między tym, co obiektywne, a tym, co subiektywne. Za kryterium uznałam integralną prawdę o przedmiocie i podmiocie. A zasadniczy motyw powstania tej książki? Podobno św. Franciszek biegał po Asyżu, wołając: „Miłość nie jest kochana!” A ja bym wołała: „Piękno nie jest podziwiane!” I to wewnętrzne wołanie było genezą *Znaku tęczy*. Dlatego jest on próbą teologicznej interpretacji własnego życia uwikłanego w kontekst historii, zespolonego z ludźmi węzłami przyjaźni, dialogów, konfliktów. Ale nade wszystko – życia zaślubionego Bogu.

Kiedy miałam już gotowy maszynopis brulionu, dałam go do przeczytania komuś, z kim, jak mi się zdawało, miałam wspólny język i z którego zdaniem bardzo się liczyłam. Zaprosił mnie do siebie, posadził na fotelu, sam zajął miejsce za biurkiem, na którym leżały przygotowane już notatki. I przez 45 minut uzasadniał mi, gęsto ilustrując przykładami ze świeżo wówczas wydanej książki Brandstaettera, że moja praca jest całkowicie chybiona. Że pisząc, popełniałam permanentnie „błąd egocentryzmu”, że moje sformułowania o ikonicznym charakterze portretów ojca i matki nie mają dostatecznej podstawy etc. Maszynopis czytały później inne osoby z grona moich najbliższych przyjaciół. Na widok mojej konsternacji, że oto pisząc

tę książkę, straciłam tyle bezcennego czasu i energii, nie trafiając w sedno, pocieszały mnie słowami: „Nie przejmuj się, on w ogóle nie rozumiał, o co tu chodzi”; „Nie martw się, on nie dostrzegł najważniejszego”.

Dwa lata temu książka ukazała się drukiem, a w ślad za nią pojawiły się echa czytelników – pozytywne, z uznaniem, a nawet z entuzjazmem.

K.W. – Moją opinię o *Znaku tęczy* przekazałem Siostrze w dwóch listach.

K.S. – I ta Pana opinia jakże była dla mnie cenna! Pan, Panie Profesorze, jest artystą. Pan wie doskonale, co dla wykonawcy znaczy reakcja słuchaczy. To normalny i konieczny objaw dialogu. Nie gra się i nie pisze wyłącznie dla siebie. Słowa Pana listów brzmią dla mnie jak dla muzyka niemilkające brawa. Ale nie o same brawa tu chodzi. Pana listy są najlepszym dowodem, że mój motyw dobrze został przez Pana zrozumiany, że dialog autora z Czytelnikiem się nawiązał i to z dalszą perspektywą.

Pana życie dobiega lat dziewięćdziesięciu. Ale i moje – choć jestem nieco młodsza – na tyle „chyli się ku zachodowi”, że myśl o nim przestaje być abstrakcją. Zawartą w Pana liście prośbę o ocenę Jego *Wspomnień* i o modlitwę widzę jednym spojrzeniem. *Wspomnienia* i *Wspomnień ciąg dalszy* to ślad całego „pracowitego i trudnego życia”, jak sam je Pan określa, nie tając świadomości, że przeżywa jego finałowe akordy, o których pisać będzie już ktoś inny.

Inni więc powiedzą, co zresztą już pisali, że *Wspomnienia* to „kawał historii muzyki polskiej”; inni będą mówić o ich wartości jako bezpośredniego dokumentu, jeszcze inni o jego walorach pamiętnikarsko-literackich. Wypatrzą też portretowe cechy Autora, Jego niezwykły talent twórczy i odtwórczy, Jego pasję pracy jako muzyka, kompozytora i dyrygenta, organizatora życia muzycznego, pedagoga, Jego cechy jako syna, brata, ojca, dziadka, pradziadka.

Ja jestem teologiem. Pragnę więc powiedzieć Panu kilka słów z punktu widzenia teologicznych aspektów Jego „muzycznego” życia, o których opowiada Pan we *Wspomnieniach*.

Świętemu Ignacemu Loyoli Pan Bóg objawił się w postaci Trójdźwięku: Każdy z poszczególnych Dźwięków był sobą, a równocześnie wszystkie trzy tworzyły Jedno. Widocznie Ignacy z Loyoli miał naturę muzyka, skoro Trójjedyny Bóg przemówił do niego takim właśnie dźwiękowym obrazem. A ja nie odbiegnę daleko od tegoż sposobu mówienia, jeśli posłużę się następującą metaforą, którą zresztą zasygnalizowałam w pierwszym rozdziale *Znaku tęczy*. Bóg ma na imię – Miłość. A skoro ta Miłość objawiła się Ignacemu z Loyoli jako Trójdźwięk, to można powiedzieć, że jednym z metaforycznych imion Bożych jest także Muzyka. Spojrzenie Boga zawsze jest stwórcze. Każde rozbrzmiewające na Ziemi echo Bożej Miłości-Muzyki jest także muzyką. Zarówno gdy jest to „muzyka” Prawdy, jak „muzyka” Dobra, czy „muzyka” Piękna, a więc i muzyka brzmieniowa w sensie ścisłym. A to by

znaczyło, że Bóg, który z perspektywy swojej wieczności patrzy na Ziemię, wsłuchując się w jej rytm i melodie, które równocześnie sam stwarza i którymi kieruje, słyszy i tworzy życie Ziemi jako swoją własną symfonię czy polifonię, czy jedną i drugą łącznie.

A zło i cierpienie? Może to jakieś dysonanse podkreślające piękno harmonii jak Krzyż, który uwypukla Boże Miłosierdzie i oddanie się Boga człowiekowi „na przepadłe”, kończąc to finałem Zmartwychwstania zapowiadającego paruzję – Jego powtórne przyście, w czym człowiek także będzie miał swój udział. „Będziemy do Niego podobni, ponieważ ujrzymy Go takim, jakim jest” – powiada św. Jan Ewangelista, a św. Paweł zapewnia, że „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, co zgotował Bóg tym, którzy Go miłują”. A zgotował na całą wieczność.

Muzyka, jak każde inne piękno tej Ziemi, jest swoistym rodzajem liturgii. Przez nią człowiek może się modlić i kontemplować Boga, ponieważ każdy błysk piękna przez małe „p” jest w gruncie rzeczy odblaskiem Piękna przez duże „P”. Jest, jak już wspomniałam, echem, choćby bardzo dalekim echem Tego, którego metaforycznie nazwałam Muzyką. Absolutną, jeśli tak można powiedzieć, Muzyką. Pełnią Harmonii. Ileż to razy melodie – choćby ukochana przez Pana, i przeze mnie, wokaliza Villi Lobosa na sopran z zespołem wiolonczel czy jakieś fragmenty oper, czy koncertów, czy symfonii – stają się dla rozmodlonego człowieka po prostu formułą jego religijnego doświadczenia. Śpiewem serca oczarowanego Bogiem. Litanią oddechu, która wielbi Jego Piękność.

Kompozytorzy, malarze, rzeźbiarze jak inni śmiertelni – umierają. Ale nawet licząc tylko w wymiarze tej Ziemi – ich dzieła trwają nadal, tworząc piękno i modlitwę ludzkich doznań. „Uczynki ich pójdą za nimi”. Jakże więc wysokie miejsce w niebie muszą mieć twórcy arcydzieł sztuki, choćby ich życie było niekiedy splątane czy wręcz fragmentarycznie nieudane. Jakże pełna blasku musi być ich druga strona, gdy mogą powiedzieć, patrząc już Bogu prosto w oczy: „Panie, dałeś mi dwa talenty, oto oddaję Ci drugie dwa [...] dałeś mi pięć talentów – oddaję Ci drugie pięć”. A Pan Bóg pomnoży to przez nieskończoność, bo Jego hojność nie ma granic.

„Kościół potrzebuje świętych – powiada Paweł VI w jednym z przemówień o sztuce sakralnej – ale potrzebuje także artystów. I jedni i drudzy – święci i artyści – są świadkami obecnego w nich Ducha Chrystusowego”. Każdy talent, który z człowieka czyni artystę, jest darem charyzmatycznym. Dlatego, Panie Profesorze, jeśli czego można pozazdrościć Autorowi *Wspomnień*, to owego zatroskania i zabiegania, aby otrzymanych od Boga talentów nie zmarnować, ale je pomnożyć. Zwłaszcza, że wśród Jego dzieł jest ta cudownie piękna *Msza uroczysta* będąca samą modlitwą! Jeżeli czego Mu pozazdrościć, to perspektywy Wielkiego Spotkania z Kimś, kto ma na imię Miłość, a Kogo możemy także nazwać – nieskończoną Muzyką.

K.W. – Nie jest mi łatwo znaleźć słowa, którymi mógłbym odpowiedzieć na to, co usłyszałem, a co było do mnie skierowane. Bardzo wielkim kredytem mnie Siostra obdarza. Zakłada od razu, że jestem artystą, który ma wielki dorobek, którego dzieło posiada trwałą i wielką wartość. Wartość daleko wykraczającą poza te walory, o których zwykliśmy mówić, które zwykliśmy dostrzegać w dziele sztuki. Wiele już miałem w moim długim życiu wywiadów dla prasy, radia, telewizji – indywidualnych i zbiorowych, poruszających problemy twórczości, odtwórczości, kultury artystycznej, jej upowszechniania i roli w życiu społeczeństwa, ale nigdy jeszcze nie spotkałem się z takim ujęciem tematu i takim zdefiniowaniem osobowości artysty i jego twórczej pracy, jakie tu Siostra przedstawiła. Mówiła nie jak krytyk, nie jak publicysta, muzykolog czy specjalista. Zresztą Siostra sama stwierdziła, że przemawiała z pozycji teologa. Postawiła nie tylko znak równania, ale po prostu przeniosła artystyczną twórczość, artystyczną działalność w sferę, w której zazwyczaj ich nie widzimy, nie dostrzegamy. My artyści muzycy – kompozytorzy, wykonawcy, działacze muzyczni – wciąż widzimy sztukę i naszą działalność w kategoriach życia doczesnego. Dla nas sztuka, niezależnie od pięknych banałów, które od czasu do czasu wypowiadamy, jest zjawiskiem na wskroś ziemskim. Może ja się mylę. Może jednak jest czymś więcej. W każdym razie tak Siostra sztukę naświetliła, ujęła i przedstawiła, że stała się ona wielką, chociaż bardzo skromną ofiarą złożoną Stwórcy. Złożoną Temu, któremu zawdzięczamy nasze uzdolnienia, nasze umiejętności, nasze osiągnięcia. Istnieją nieraz, jakby to powiedzieć – bardzo wielkie zbieżności, bardzo wielkie podobieństwa między przeżyciami artystycznymi a przeżyciami religijnymi. Pewne słowa mogą mieć zastosowanie i tu, i tu. Chociażby tak pospolite, często używane słowo: nastrój. Nastrój jest konieczny w sztuce i jest konieczny w modlitwie. Sztuka może się stać modlitwą. Dlaczego nie? My o tym nie myślimy, nawet trochę się wstydzimy, krępujemy, nie przyznajemy się do tego. Ale jeśli nas, jak to się mówi, przyprzeć do muru, to każdy prawdziwy twórca musi się przyznać, że modli się swoją sztuką.

Ale teraz wróćmy na chwilę do tego, co Siostra mówiła na samym początku o swojej książce autobiograficznej zatytułowanej *Znak tęczy*. Wspomniała o reakcjach czytelników i o tym jednym, który podobno był takim wielkim znawcą i tak bezwzględnie skrytykował całe dzieło. Otóż nawiązując do tej książki, ale nie wdając się już w szczegóły, w jednym zdaniu mógłbym powiedzieć, że jest to fascynująca lektura. Lektura kształcąca, krzepiąca, mobilizująca. Wręcz pasjonująca, a przy tym wcale niełatwa. Ale niezależnie od tego, po jej przeczytaniu, nie wiem już po raz który, zacząłem się zastanawiać, jak właściwie powinna wyglądać autobiografia? Ile może być w niej egocentryzmu, w jakim stopniu może być subiektywna? Jak może wyglądać stosunek autora do różnych zjawisk, do różnych szczegółów? Co jest ważne i istotne w pojęciu jednego, to w pojęciu innego zupełnie nie zasługuje na uwagę. Dlatego poszczególne pamiętniki czy autobiografie zna-

cznie się między sobą różnią. Każdy, kto zamierza kreślić swoje wspomnienia, podejmuje się bardzo trudnej i odpowiedzialnej pracy. Jeśli chce przedstawić sylwetki swoich krewnych, rodziców, wychowanków, nauczycieli, kolegów, przyjaciół zawsze dokonuje wyboru. Nigdy nie może przedstawić człowieka, jakby to powiedzieć – stuprocentowo pełnego. Ekspozuje jedne cechy, pomija inne. Jako przykład mógłbym tutaj wymienić osobę bardzo skromną, można by powiedzieć pospolitą, nie mającą nie tylko żadnych talentów, ale także żadnych jakichś cech charakterystycznych, godnych uwagi. Mam na myśli moją macochę Dorotę Wilkomirską, drugą żonę mojego ojca, moją rówieśnicę, którą znałem od lat młodości do jej śmierci i z którą co najmniej kilkanaście lat przeżyłem pod jednym dachem. Mogłem więc poznać ją naprawdę dobrze. I otóż rzecz ciekawa: ta kobieta miała bardzo wielkie zalety, miała też wielkie wady. I gdyby się chciało przedstawić jej sylwetkę, jakże różnie mogłaby się ta sylwetka prezentować. Jak wielki mogłaby wzbudzić niesmak albo niechęć, a równocześnie mogłaby wzbudzić wielki szacunek, nawet podziw. Bo ta kobieta była warta szacunku i podziwu przy wszystkich swoich słabostkach i wadach. A cóż dopiero mówić o ludziach wybitnych, którzy potrafili odegrać poważną rolę w dziejach jakiejś społeczności ludzkiej. I tutaj muszę powiedzieć, że *Znak tęczy* jest zjawiskiem bardzo oryginalnym, swoistym, niecodziennym. Czy ta książka świadczy o egocentryzmie? A tak, ona jest bardzo „egocentryczna”. Czy to jest źle? Wcale nie! Po prostu jest. Mogłaby być bardziej obiektywna, autorka mogłaby bardziej dbać o to, żeby przedstawiać fakty, zdarzenia, a niekoniecznie swoje wewnętrzne, duchowe przeżycia. Czy konieczne było tak płomienne wyznanie wiary, które dominuje w całej tej książce? Niekonieczne. Ale było i jest. Ja wystrzegałem się nadmiernego subiektywizmu, a jednak ileż we *Wspomnieniach* utrwalonych jest moich przeżyć, moich zwątpień, smutków, radości. A więc wspomnienia nie są tylko kroniką, jak ta, którą słyszymy każdego wieczoru w dzienniku TV. A że książka *Znak tęczy* jest niezwykła, to nie ulega wątpliwości. Nie jest to lektura łatwa, nie dla wszystkich, nie do poduszki, nie czyta się jej jak kryminalną powieść. Ale ileż tam ciekawych informacji, jakim ona jest cennym dokumentem historycznym. Rozdziały dotyczące wojny, okupacji, warszawskiego powstania są wręcz wstrząsające. Nie spotkałem czegoś takiego w żadnym innym dziele na ten temat.

K.S – Dziękuję, Panie Profesorze, za zrozumienie. Chciałabym wtrącić jeszcze słowo w związku z tym, co było nazwane „egocentryzmem”. Otóż podkreśla się współcześnie rozróżnienie między subiektywizmem a subiektywnością. Subiektywizm oceniany jest negatywnie jako patrzenie na wszystko przez pryzmat samego siebie. Czyli właśnie egocentryzm. Natomiast subiektywność to przeżywanie wszystkiego z osobistym zaangażowaniem. Autor jest tu podmiotem, a nie przedmiotem zainteresowania. I to jest postawa słuszna, pozytywna. Można by ją nazwać „egocentryzmem” tylko w cudzy-

słowie. Ta subiektywność ujawnia się także w Pana *Wspomnieniach* jako ogromne zaangażowanie w twórczość, w działalność społeczną, we wszystko, co Pan robi. Bez tej subiektywności *Wspomnienia* straciłyby połowę swojego waloru, stałyby się odpodmiotowioną faktografią. Jeśli zaś chodzi o to, co nazywa Pan, w związku z moim *Znakiem tęczy*, „wyznaniem wiary” to mogłoby go nie być tylko teoretycznie. Bo było ono de facto konieczne jako integrujący element motywu napisania tej książki. Bez niego traciłaby ona swoją rację bytu.

K.W. – Według mego przekonania nie można szukać idealnej autobiografii. Nie można na aptekarskiej wadze odmierzać wszystkich jej elementów. Oczywiście, autor to czyni, ma w ręku ołówek, wprowadza większe czy mniejsze skróty. Czy tak było w rękopisie Siostry? Być może. Książka jest tak oryginalna i niezwykła, bo wiele jest w niej elementu religijnego – dużo więcej niż gdzie indziej, ale trzeba ją przyjąć taką, jaka jest. Jeśli się komuś nie podoba, może nie czytać. Jeszcze jedno chciałbym podkreślić – bardzo wiele miejsca jest tam poświęcone idei ekumenizmu. Muszę przyznać, że dopiero z tej książki Siostry dowiedziałem się, jak szeroki zasięg ma już ta idea na całym świecie, jak wielu nie tylko duchownych, nie tylko naukowców ona już wciągnęła. A przecież jeszcze tak niedawno katolicyzm, prawosławie, protestantyzm, każde z tych wyznań uważało, że jest religią prawdziwie chrześcijańską, a wszystkie inne to błąd, herezja, grzech. Pamiętam jeden epizod z mojego życia. W roku 1956 moje siostry – Wanda, Maria i ja odbyliśmy tournée koncertowe po Związku Radzieckim. Odwiedziliśmy republiki zachodnie i byliśmy w Mińsku, stolicy Białorusi. Była niedziela i jakieś większe święto. Chcieliśmy – moja siostra Maria i ja – pójść rano do kościoła. Katolicki kościół wprawdzie w Mińsku był, ale gdzieś na dalekiej peryferii i ileś tam kilometrów trzeba by zrobić, żeby się do niego dostać. Postanowiliśmy więc wybrać się do prawosławnego soboru. Prawdziwy sobór był zajęty na jakieś tam muzeum, a rolę soboru pełnił duży, parterowy, drewniany barak. Poszliśmy do tego właśnie baraku na nabożeństwo. Jakież zachwycające formy miała ta prawosławna liturgia! Mogę stwierdzić to z całą szczerością – o ileż więcej było w niej prawdziwego piękna niż w liturgii katolickiej. Ten przepiękny śpiew chóru przed Ewangelią: „Obwieść nam władcyko Słowo Pańskie” – na kilka głosów a capella (prawosławna liturgia w ogóle nie używa organów). Po prostu wierni prosili, żeby kapłan odczytał im słowa Ewangelii. A u nas przez ileż to dziesięcioleci mówiło się: „Na niedzielę dzisiejszą czyta nam Kościół święty Ewangelię według [...]”. Więc już wtedy w mojej duszy rozpoczął się jakiś proces ekumeniczny i coś z tego, co dziś obserwujemy jako szeroki ruch ekumeniczny, którego Siostra jest tak gorliwą propagatorką. Rozdziały tej książki dotyczące tego tematu jakże są interesujące i pouczające.

A wracając jeszcze do sprawy, czy ta książka ma jakieś minusy? No, pewnie że ma. Dlaczego miałyby nie mieć? *Ogniem i mieczem* także je ma.

I *Quo vadis?* Ale te minusy wcale nam nie przeszkadzają. Ja na przykład powiem szczerze – nie lubię tytułów, które nie mówią nic o tym, co ma być pod nimi. Moje dobre prawo. A prawem autora jest taki tytuł użyć.

K.S. – A więc *Znak tęczy* nic Panu Profesorowi nie mówi?

K.W. – No, takiemu jak ja, dużo nie mówi. Niekoniecznie też muszę używać słowa „ikona”, kiedy opowiadam o człowieku, z którym mnie wiążą moje wspomnienia. Jeżeli będę mówił o mojej śp. pierwszej żonie czy o mojej babci, którą kochałem nade wszystko i która mnie wychowała i przez jakiś czas zastępowała mi matkę, to nie przyjdzie mi do głowy, że bym zastosował do niej słowo „ikona”. Ale może ja nie mam racji. Może należałoby tak powiedzieć. Dlatego ja w ogóle nie przywiązuję wagi do swoich osobistych upodobań. Przyjmuję dzieło, jakim ono jest. A dla mnie najważniejsze są jego walory. Koniec.

K.S. – Jeszcze słowo na temat Pana *Wspomnień*, proszę.

K.W. – Przeglądałem wczoraj swoje, jeśli tak można powiedzieć, prywatne archiwum. To jest, krótko mówiąc, wielki śmietnik, ale nie brak w nim dokumentów, bardzo ciekawych listów, programów, artykułów, wycinków z różnych pism. No i przypadkiem trafiły mi do ręki wycinki zawierające recenzje o mojej książce pt. *Wspomnienia*. Między innymi jest tam artykuł Jerzego Waldorffa, artykuł, który mniej więcej tak się kończy: „Książka Wilkomirskiego to właściwie jest, żeby tak powiedzieć – książka do nabożeństwa. Nabożeństwa przed ołtarzem muzyki. Wilkomirski przez całe swoje długie życie szedł z wiolonczelą w rękach, jak ksiądz z monstrancją”. To powiedzenie jest może trochę zabawne, ale... chyba trafne.

K.S. – Metafora ta w takim razie domaga się komentarza czy interpretacji. We *Wspomnieniach* w kulminacyjnym punkcie pierwszej części książki mówi Pan o sobie mającym zaledwie 20 lat, a tyle już różnorodnych doświadczeń życiowych: Moskwa, Kaukaz, Warszawa. I wymieniając jako cały swój „ruchomy majątek” [...] „lichą wiolonczelę, paczkę nut i rękopisów [...], moskiewski jeszcze smoking i parę niemożliwie podartych koszul”, kończy Pan całą tę kwestię słowami: „A wszakże byłem bogaty: miałem wielki zapas optymizmu i pełne ręce skarbów muzycznego piękna do rozdania”. Więc kiedy teraz, z perspektywy tyloletniego swego twórczego życia – jako wirtuoza, kompozytora, dyrygenta – patrzy Pan na cały ten okres niby z lotu ptaka, jak go Pan widzi? Jak go Pan określa czy ocenia? Może zechciałby Pan tym razem zrezygnować z dążenia do obiektywizmu, a odpowiedzieć właśnie „egocentrycznie” – choćby w paru zdaniach czy kilku słowach?

K.W. – Pytanie jest konkretne i wymaga konkretnej odpowiedzi. Zaczepnięte z moich *Wspomnień* słowa mówiące o „pełnych rękach skarbów muzycznego piękna do rozdania” stały się dla mnie jak gdyby nakazem moralnym, któremu pozostałem wierny przez całe moje życie. Tak właśnie mógłbym określić moją wieloletnią, wielokierunkową działalność artystycz-

ną, pedagogiczną i organizatorską. Nie do mnie należy ocena tej działalności, ale chyba wolno mi stwierdzić, że nie miała ona na celu własnych tylko sukcesów, własnej kariery, ale miała znaczenie rozleglejsze. Po latach owoce jej są – jak mi się zdaje – zauważalne.

K.S. – I jeszcze jedno. W związku z tym samym, młodzieńczym okresem Pana życia, czytamy w Jego *Wspomnieniach*: „Kiedy po skończonym koncercie wracaliśmy do domu, odczuwałem jakieś zupełnie niezwykle wyczerpanie, nie tylko fizyczne: jakiś dziwny smutek czy tęsknotę, jakieś niewytłumaczone dręczące pragnienie – czego? otóż właśnie: czego?” Potem stwierdza Pan, że to „powrót z zaczarowanego królestwa sztuki” do „świata rzeczywistości pełnego brzydoty i codziennych trosk”. I sądzi Pan, pisząc dalej, że artysta z biegiem czasu może „przyzwyczać się” do tych nagłych przeskoków i potrafi „po skończonym akcie twórczym czy odtwórczym czuć się jak po dobrze spełnionym obowiązku, jak po trudnej, odpowiedzialnej pracy, po której miły jest zasłużony odpoczynek”. Oczywiście, zgadzam się, że to kwestia i swoistego treningu, i psychicznej inności człowieka dojrzałego. Ale czy nie sądzi Pan, że owe młodzieńcze „tęsknoty” i „pragnienia” są czymś więcej niż tylko wynikiem kontrastu, jak „przebudzenie się z pięknego snu” – jak to Pan nazywa – czy „bolesny upadek z wysokości”? Nazywając rzecz po imieniu – czyż to nie jest także metafizyczna tęsknota i pragnienie Absolutu, które przecież nigdy całkowicie nie wygasa w duchowym życiu artysty?

K.W. – Raz jeszcze sięga Siostra do moich wspomnień z lat młodości. Te moje wynurzenia nie są bynajmniej frazeologią, ani naiwną metafizyką dwudziestoletniego młodzieńca. Są szczere i ukazują przeżycia młodego, zapalonego artysty w najbardziej bezpośrednim obcowaniu z wielką sztuką w jej szczytowych przejawach. Potwierdza się w tych wypowiedziach współistnienie dwóch nieodzownych elementów, jakimi są natchnienie i rzemiosło, wzlot ducha i umiejętność zawodowa wymagająca rzetelnej, wytrwałej pracy. Każdy prawdziwy artysta, opierając się na własnym doświadczeniu potwierdzi słuszność tych słów. A właściwej odpowiedzi na pytanie, czym jest sztuka w życiu duchowym człowieka nie znajdziemy – jak sądzę – nigdy.

K.S. – Ale czyż te, jak Pan mówi: „przeżycia młodego, zapalonego artysty w najbardziej bezpośrednim obcowaniu z wielką sztuką w jej szczytowych przejawach” nie zawierają już pewnych elementów odpowiedzi na to właśnie pytanie?